

[odpowieź na ankietę]

Jerzy Święch

JERZY ŚWIĘCH

Jeśli zdecydowałem się na zabranie głosu w ankiecie ogłoszonej przez redakcję „Pamiętnika Literackiego”, to dlatego że wśród pytań, jakie w niej postawiono, znajduje się jedno, które mnie szczególnie interesuje (ufam, że nie tylko mnie), przytoczę je zatem w całości: „Co decydowało [w historii literatury] o zmianach zainteresowań badawczych, nowych perspektywach i hierarchiach: odkrycia źródłowe, zmiany metodologii i języków opisu, warunki zewnętrzne (historia, polityka)?” Jubileusz stulecia „Pamiętnika” stanowi, moim zdaniem, wyjątkowo dobrą okazję do zastanowienia się nad tą sprawą. Fakt, że w jednym z najbardziej burzliwych okresów naszej historii, jakim był wiek XX, ukazuje się niemal bez przerwy czasopismo traktujące, mimo swego specjalistycznego charakteru, o zagadnieniach interesujących ogół społeczeństwa, z zakresu historii, literatury czy kultury, narażone przeto na ingerencje ze strony różnych władz (fakty takie miały przecież miejsce w dziejach „Pamiętnika”), jest swoistym fenomenem. Sprawilo to jednak, że w historii pisma, w jego kolejnych rocznikach przegląda się jak w zwierciadle cała polska wiedza o literaturze w ciągu minionego stulecia, jej wzloty i upadki, sukcesy.

Szkoda doprawdy czasu i papieru, by po raz kolejny przytaczać dowody na to, jak ogromny postęp w ciągu minionego stulecia dokonał się w naszej dyscyplinie. Czyniono to już wielokrotnie, chociażby z okazji zjazdów polonistycznych, z ostatnim włącznie (1995), niepodobna też nie wspomnieć o podstawowej w tym względzie książce Henryka Markiewicza *Polska nauka o literaturze. Zarys rozwoju* (1985) czy najświeższej próbie ujęcia dziejów nowoczesnego literaturoznawstwa przez Ryszarda Nycza (*Język modernizmu. Prolegomena historycznoliterackie*, 1997). A jednak zostaje i w tej dziedzinie jeszcze coś do powiedzenia czy dopowiedzenia, m.in. gdy obserwuje się to, co działo się na łamach „Pamiętnika Literackiego”. Należy więc przypomnieć tym, którzy nie wiedzą lub nie pamiętają, że właśnie na tych łamach ukazywały się wypowiedzi czołowych przedstawicieli dyscypliny, którym zawdzięczamy wprowadzenie jej – i to stosunkowo wczesne – na tory nowoczesnego literaturoznawstwa: Juliusza Kleinerja, Romana Ingardena, Manfreda Kridla, Zygmunta Łempickiego. Rok powstania „Pamiętnika” zbiega się bowiem w czasie z przewrotem, jaki dokonał się w humanistyce, przewrotem, który wyniósł refleksję (i praktykę) literaturoznawczą na poziom dyscypliny naukowej, wyposażając ją we własną metodologię i własny język, i nie będzie wielką przesadą, jeśli powiemy, że zarówno wtedy, jak i później „Pamiętnik” orędownał wysiłkom, które drogą prób i błędów zmierzały do ciągłego udoskonalania metod badawczych, narzędzi analizy, itp., nie rezygnując z zadań, które legły u podstaw

idei powołania pisma do życia, a miało ono służyć – przypomnijmy – ocaleniu wartości składających się na kształt polskiej kultury narodowej przez publikowanie prac o charakterze dokumentalnym i źródłowym, przez komentarze, rozprawy i studia historyczne, itp. Zachowując taki swój charakter „Pamiętnik” reagował jednocześnie silnie – z własnej czy nie własnej woli – na potrzeby chwili, ulegając czasem różnym względom koniunkturalnym, panującej modzie bądź wręcz naciskom politycznym, gdyż odpowiednie czynniki tą drogą uzurpowały sobie prawo do interwencji w działalność naukową, która ze względu na swój przedmiot mogła się okazać niepożądana lub groźna dla zamierzeń władzy.

Łatwo się domyślić, kiedy nauka o literaturze w Polsce podlegała indoktrynacji ideologicznej i co z tego wynikło, problem jednak jest o wiele szerszy i właśnie nim mam zamiar się tu krótko zająć. Nie było odwrotu od drogi, na jaką wstąpiło literaturoznawstwo polskie na przełomie XIX i XX wieku, był to z pewnością przełomowy zwrot w kierunku nauki nowocześnie pojętej, która w miarę dalszego rozwoju pomnażała swój kapitał, ale ujmowanie tego procesu jako zjawiska typowego dla prawidłowości cechującej „dzieje” paradygmatu danej dyscypliny wiedzy, jak czyni to w sposób trafny i sugestywny Nycz, z konieczności pozostawia na boku okoliczności zewnętrzne, interweniujące w suwerenny obszar nauki, które jednak wyciskają na niej swój ślad, a skutki tych ingerencji dla samej nauki bywają zgoła niebagatelne. Zakłócają bowiem jej normalny i prawidłowy przebieg, ale też i coś oferują, skłaniają do rewizji utartych szlaków, kuszą obietnicami dalszych odkryć. Nurt nowoczesnej refleksji literaturoznawczej ogromnie się wzbogacił w okresie Dwudziestolecia, wpłynął na rozwój takich dziedzin, jak poetyka, wersologia, stylistyka, ale historia literatury, wciąż główna gałąź literaturoznawstwa, miała w tym czasie do wykonania zgoła inne zadania, którym starała się sprostać bardziej tradycyjnymi metodami, choć z pewnością odbiegającymi od stosowanych wcześniej. Szło przecież o wspomniane prace dokumentacyjne i inne nad literaturą polską ubiegłych wieków, o pozbycie się całego patriotycznego balastu, jaki ciążył na pracach – skądinąd wartościowych – powstałych w wieku XIX, o edycje dzieł klasyki, itd. Stąd duży rozdział między ówczesną myślą teoretyczną a praktyką historycznoliteracką, która produkowała „normalne” rozprawy, przyczynki, syntezы podręcznikowe, nie oglądając się na „nowinki”. Jakiegokolwiek zastrzeżenia mielibyśmy dzisiaj do tego dorobku, to przecież niepodobna wyobrazić sobie bez niego postępu, jaki w badaniach dokonał się po wojnie.

Wybuch drugiej wojny światowej i jej skutki, jakże bolesne i dotkliwe dla stanu posiadania polskiej nauki, osobowego i instytucjonalnego, nie przerwały tradycji badawczej, skoro do osiągnięć szkoły wileńsko-warszawskiej lat trzydziestych zaczęto nawiązywać krótki czas po wojnie, a potem, w o wiele szerszym zakresie, po roku 1956, kiedy zapanował duch strukturalizmu. Groźne natomiast okazały się skutki Jedynie Słusznej Metody – w swej wersji administracyjnie narzuconej i mocno zwulgaryzowanej nie poczyniła ona na szczęście zbyt wielkich szkód bezpośrednich, ograniczając się do projektów teoretyczno- i historycznoliterackich (syntezы, monografie twórczości), które nie zdążyły się urzeczywistnić lub urzeczywistniały się w małym stopniu; pośrednio jednak metoda marksistowska wykształciła nawyki, które trwały znacznie dłużej. Z drugiej znów strony, rewizja założeń tej metodologii na polu teorii i socjologii literatury, historii literatury i historii idei, monografistyki literackiej i hermeneutyki (Henryk Markiewicz, Stefan

Żółkiewski, Maria Janion, Maria Żmigrodzka) przyniosła wyniki, które w pozytywny sposób przyczyniły się do rozwoju badań literackich na tych i innych polach, nie ulega też wątpliwości, że wybuch strukturalizmu był reakcją na marksizm literaturoznawczy i chęcią zatarcia po nim śladów. Bycie strukturalistą w tamtych latach stało się po trosze aktem politycznym.

O strukturalizmie i roli, jaką odegrał w naszej nauce, powiedziano już tyle, że każdy następny głos w tej sprawie wydaje się zbyteczny. Strukturalizm po wojnie oddziałł na co najmniej dwa pokolenia badaczy jako wyraz potrzeby podniesienia standardów pracy naukowej na wysoki poziom, porównywalny z innymi dyscyplinami, co niechętnym dawało często asumpt do oskarżeń strukturalistów o ciasny dogmatyzm i doktrynerstwo, bezwzględność w forsowaniu własnej metody, terroryzm metodologiczny. Inspiracjom z tego kręgu zawdzięczają, jak nigdy dotąd, swój rozwój takie dziedziny, jak poetyka historyczna i poetyka, wersologia i socjologia literatury, badania nad recepcją i teoria tekstu, przy jednoczesnym odsunięciu na drugi plan historii literatury, gdyż w tym względzie pomysły teoretyczne, czerpane z idei szkoły praskiej (ewolucja literacka, diachronia itp.), pozostały na papierze. Produkcja historycznoliteracka lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czyli w dobie panowania strukturalizmu, jest nie tyle że skromna, ile, raczej przeciwnie, tradycyjna w podejściu do swoich uprawnień i realizująca cele, które poza nią samą innych nie interesowały. W warunkach przejściowego liberalizmu i tzw. małej stabilizacji przestały, przynajmniej w pewnym stopniu i na jakiś czas, obowiązywać zakazy poruszania się po niektórych terenach (ale wciąż z wyłączeniem emigracji), nikt nie zamierzał kompromitować się dalszym posługiwaniem się zakłębieniami w rodzaju „typowości”, „klasowości”, „postępowości” itp. bzdurami, ale też – mówimy wciąż o historii literatury – nie znajdując alternatywy dla tego języka, poza samą chęcią oczyszczenia go z narosłych na nim sensów ideologicznych. Dużo i zarazem mało, jak na dyscyplinę, która w owym czasie staje się przedmiotem gorących dyskusji, i to z różnych, także lewicowych (szkoła frankfurcka) stanowisk. Nie zabrakło takich dyskusji i u nas, chociażby z okazji zjazdu metodologicznego Instytutu Badań Literackich w roku 1974, rzecz w tym, że teoria zdecydowanie wyprzedzała tu praktykę i na zmiany wciąż przychodziło dopiero poczekać.

Wraz z powstaniem tzw. drugiego obiegu, w pełni zaś dopiero po roku 1989, ściślej mówiąc, od zniesienia cenzury w kwietniu 1990 roku, przed historią literatury i krytyką stanęła szansa dokonania kolejnego i decydującego wyłomu wśród obowiązujących dotąd zakazów, szansa, mówiąc tamtym językiem, wypełnienia „białych plam”, a dotyczyła ona tak wielu spraw, że samo ich wyliczenie wyczerpałoby ramy tego wystąpienia. Historycy literatury rzucili się ochoczo do realizacji tych zamierzeń, zyskując swoimi działaniami szeroki jak nigdy dotąd aplauz społeczny, z energią, która rekompensowała brak wyraźnie określonego planu, rozproszenie wysiłków i brak koordynacji działań, a warto przypomnieć, że działa się to (i dzieje się nadal) w okresie, kiedy nowoczesny paradygmat nauki o literaturze zaczyna się chwiać, kiedy od początku lat osiemdziesiątych mówi się coraz więcej i chętniej o dekonstrukcjonizmie i innych „poststrukturalistycznych” prądach, postmodernizmie, feminizmie itd. Dyskusje te nie znajdują jednak zrozumienia u przedstawicieli dyscypliny, która nadal chce się nazywać historią literatury, nie spotykając w tym sprzeciwu ze strony ogółu, narażając się jednak na ostre

ataki ze strony specjalistów, mówiących o kryzysie, który właśnie tu wystąpił, o tym, że syntezy historii literatury konserwują postać, jaką otrzymały w XIX stuleciu, jakby nie nastąpił zmierzch „wielkich narracji”, itd., itd. Krótko mówiąc, praktyka badawcza realizowała cele dość odległe od teorii, mało troszcząc się poza wykonywaniem konkretnych zleceń o jakieś dalsze, bardziej wyspecjalizowane uprawnienie swoich działań, dlatego obydwie dziedziny, historia i teoria literatury, miały współpracować ze sobą, oddalały się na coraz większy dystans.

Poczucie, po wojnie nader silne, że historia literatury powinna zmienić swoje oblicze, jeśli ma nadążyć za postępem nowych metodologii, nie przekładało się na wyniki badań szczegółowych. Postulaty historii literatury „bez nazwisk”, historii arcydzieł, historii z perspektywy odbiorcy itp. nie miały dostatecznej mocy, by podważyć sens uprawiania historii literatury w dawnym stylu. Nic lepiej nie świadczy o odporności historii literatury na to, co już od dawna miało miejsce w refleksji literaturoznawczej, jak dzieje wielotomowej uniwersyteckiej historii literatury, powstałej z inicjatywy Instytutu Badań Literackich PAN, której pierwsze wydanie z początków lat siedemdziesiątych zostało bez merytorycznych zmian powtórzone po przeszło dwudziestu latach (!), w nader okazałej szacie graficznej i pod nazwą „Wielka Historia Literatury Polskiej PWN”.

To właśnie na wspomnianym przed chwilą ostatnim zjeździe polonistów Włodzimierz Bolecki dojrzał w owej serii złożonej z syntez literackich ostoję metodologicznego konserwatyizmu, rzucającą cień na całą dyscyplinę! Tak jak gdyby nie przenikały do niej nowe pomysły i idee, a cała historiografia tego typu skazana była na podrzędność. A może, jak sugeruje T. S. Kuhn, w nauce „często jest lepiej robić to, co robić potrafimy najlepiej za pomocą posiadanych narzędzi, niż czekać w kontemplacji na pojawienie się alternatywnego podejścia”? Czy istotnie nie ma alternatywy dla historii literatury, tak jak jest ona wciąż powszechnie postrzegana? Czy na przestrzeni minionego stulecia naprawdę nic się istotnego w tym względzie nie zmieniło? Na tak postawione pytanie nie ma wciąż jednoznacznej odpowiedzi. Wypada ograniczyć się tu do paru oczywistości, by lepiej zdać sobie sprawę, o co tu naprawdę chodzi. Nie sięgając do przykładów wcześniejszych, syntezy typu podręcznikowego powstałe w Dwudziestoleciu, a także po wojnie, do momentu ukazania się wspomnianej „wielkiej” serii PWN-owskiej, nie wytrzymały próby czasu, sukces zaś owej serii jest nie tylko, jak sądzą niektórzy, sukcesem wydawniczym, lecz wyrazem rzeczywistej potrzeby otrzymania takiej syntezy, która by odpowiadała stanowi dzisiejszej wiedzy i rezultatom zawansowanych jak nigdy dotąd badań nad literaturą poszczególnych epok, prezentując wyłącznie merytoryczne podejście do przedmiotu, uwolnione od koniunkturalnych nacisków, co było zgorąlem podręczników powstałych w PRL-u. Podział na epoki i okresy, struktura prądów i kierunków artystycznych, zasady periodyzacji itd. zostały utrzymane, ale w tych tradycyjnych ramach materiał bywa często inaczej rozłożony, akcenty wyraźnie poprzestawiane w stosunku do powszechnie obowiązujących, hierarchia autorów i dzieł czasem też wyraźnie inna, słowem, mamy do czynienia z ujęciem niewątpliwie współczesnym i zindywidualizowanym, choć bez rewolucyjnych intencji w stosunku do syntezy tego typu. Fakt, że wydawcy zdecydowali się uwzględnić w swym projekcie dorobek literacki powstały w latach drugiej wojny światowej, dowodzi, że możliwe są pewne ustępstwa i koncesja w stosunku do dotych-

czasowych epok i okresów (literatura wojenna nie zasługuje bowiem na takie miana). Z drugiej strony, serii „wielkiej” towarzyszy od dłuższego już czasu konkurencyjna „Mała Historia Literatury Polskiej”, „mała” z uwagi na objętość poszczególnych tomów, czy raczej tomików, co czyni z nich publikacje o podręcznym i popularnym charakterze, ale zgoła nie „mała”, gdy chodzi o ambicje, jakie ożywiają autorów, zmierzających często, częściej niż poprzednio, do rewizji całościowych i fragmentarycznych ujęć w ramach poszczególnych epok, nowych pomysłów periodyzacyjnych, zindywidualizowanych i dyskusyjnych ocen, itp.

Zgłaszając szereg teoretyczno-metodologicznych projektów pod adresem historii literatury, za mało zwraca się uwagę na to, co już w tym zakresie praktycznie zrobiono. A tradycyjnym syntezom wyrasta pod boki konkurencja w postaci słowników literatury obejmujących poszczególne epoki, publikacje, trochę na wzór zachodnich „companionów”, znakomicie przygotowane przez grono najwyższej klasy specjalistów, które, jak się wydaje, coraz bardziej i lepiej odpowiadają potrzebom społecznym niż tradycyjne, nawet dobre, syntezy. Najwięcej kłopotów już od dawna sprawiało włączenie w obręb syntezy historycznoliterackiej tego, co – w różnym czasie inaczej – uchodziło za domenę współczesności. Począwszy od Feldmana, Antoniego Potockiego, przez Czachowskiego do IBL-owskiego podręcznika *Literatura polska 1918–1932*, który w realizacji stanowi dość osobliwy rodzaj syntezy będącej zbiorem studiów, często „przecinających” pod innym kątem widzenia ten sam materiał. Najciekawsza propozycja, bynajmniej nie tylko o terminologicznym i periodyzacyjnym charakterze, dotyczy całej literatury polskiej XX wieku jako modernistycznej, w tym znaczeniu, w jakim nazwa „modernizm” funkcjonuje w krytyce anglosaskiej, stając się synonimem nowoczesności, co ma związek z toczącymi się dzisiaj dyskusjami na temat ponowoczesności i postmodernizmu. Odpowiada ona, przy całej swej dyskusyjności, potrzebie spojrzenia na literaturę polską XX wieku w sposób całościowy i przy zastosowaniu kryteriów, które składają się na „projekt nowoczesności”. Odpowiada też innym oczekiwaniom, mianowicie skierowanym ku obowiązującemu teraz i w przyszłości kanonowi literatury polskiej XX wieku, który pod nazwą „modernistycznego”, *resp.* „nowoczesnego”, wprowadza istotne przesunięcia w obrębie ustalonych hierarchii wielkości i gustów.

Ten ostatni projekt, wiążąc dzieje literatury polskiej XX wieku z centralnymi problemami epoki nowoczesnej i tym samym nadając jej wymiar europejski, jest godzien szczególnej uwagi, ale i on ilustruje prawidłowości o charakterze bardziej ogólnym. Jeśli bowiem na dzieje historii literatury i szerzej – badania literackie w Polsce spojrzeć z punktu widzenia kolejnych przełomów, to widać, że zmiana metodologii, niekiedy raptowna, co sprawia, że mówi się o zmianie całego paradygmatu wiedzy (jest to przypuszczenie na wyrost), jest funkcją procesów, jakie dokonują się poza obrębem nauki jako takiej, zwłaszcza zmian społeczno-politycznych. Akceptacji metodologii nowej humanistyki, antypozytywistycznej, po roku 1918 w Polsce niewątpliwie torowały drogę nowe warunki życia w Drugiej Rzeczypospolitej, jakiegokolwiek skomplikowane i niejednoznaczne związki zachodziłyby podówczas między tymi sferami. Kolejne przełomy: marksistowski, strukturalistyczny i poststrukturalistyczny korzystały z podobnego, by tak rzec, poparcia (często o fatalnych skutkach) ze strony czynników decydujących o zmianie sytuacji politycznej i kulturalnej w kraju. Nie trzeba na to bliższych dowodów,

przy całej ostrożności, do jakiej skłaniają podobne generalizacje. Jakie skutki pociągał za sobą ten fakt?

Po pierwsze, każdy taki przełom powodował utratę pamięci o poprzednikach, zapominanie o tym, co już zrobiono, chęć zaczynania na nowo, gdy w gruncie rzeczy często szło tylko o zmianę języka i perspektywy, co nie znajdując uzasadnienia w świetle rzeczywistych potrzeb mnożyło tylko problemy zastępcze, lepiej częstokroć rozwiązywane wcześniej, lecz bez ludzkiej otoczki nowatorstwa. Przerost więc teorii, programów i prognoz nad konkretnymi zadaniami, które nadal rozwiązywano w duchu nie liczącym się z aktualnie obowiązującą metodologią. Wraz z wygaszaniem impulsów płynących ze strony danej metodologii następowało porzucanie całych obszarów zainteresowań i zmiana w hierarchii tychże zainteresowań. Zmiana warunków funkcjonowania nauki i spadek popularności metod traktowanych dotąd jako pierwszoplanowe w rejestrze obowiązujących doktryn prowadzi do porzucenia dziedzin uznanych za badawczo wyeksploatowane. Każdy nowy „etap” znaczący nie tylko nowe osiągnięcia, wszak ich suma decyduje o postępie dyscypliny, ale też i kolejne zaniedbania i zaniechania. Po jakimś czasie wszyscy niedawni jeszcze zwolennicy nowych metod konstatowali deficyt w pewnych dziedzinach, dzisiaj np. jest on wyraźny w edytorstwie naukowym, dokumentacji, bibliografii, nie widać też na horyzoncie nikogo, kogo by dalej zajmowały sprawy wersologii, stylu, gatunków. Po drugie, i rzecz w znacznej mierze dotyczy właśnie historii literatury, przejście z jednego etapu na drugi oznacza pokusę weryfikacji dotychczasowych interpretacji oraz ocen, ciągle „przeceny”, które często przybierają postać opinii formułowanych w trybie pospiesznym i powierzchownym, nowe hierarchie wyrażają aktualny gust i modę, te zaś rychło ulegają zmianie. Język opisu przegrywa z językiem ocen, trzeba zatem czasu, by zjawiska uzyskały właściwe rozmiary i proporcje, wyraźnie zachwiane, gdy promuje się nowy język i nową metodologię. Niepomrotnie rozrasta się dziedzina wstępnych rozpoznań przedmiotu, sprawdzanie skuteczności obranych narzędzi, teoretyczne uzasadnianie prawomocności obranej metody, słowem to, co zwykło się określać mianem rekonesansu badawczego. W ogóle trudno powiedzieć, kiedy mamy do czynienia ze stanem właściwym i normalnym w rozwoju dyscypliny. I w jednym, i w drugim przypadku dochodzi do przerwania tradycji badawczej, która u nas nigdy nie zdążyła się na dobre zakorzenić, ustępując wciąż pod naporem jakiegoś Nowego.

Historiok literatury jest dziś zbyt świadomy ograniczoności metod i nawyków przejętych po poprzednikach, by ryzykować napisanie normalnej monografii typu „dzieło i twórca” czy jeszcze jednej syntezy literatury danej epoki, która miałaby ambicje wyczerpania istniejącej wiedzy na ten temat. Woli przedsięwzięcia o nieporównanie skromniejszym charakterze, ale dające mu rękojmię teoretycznej pewności założeń i dróg, jakimi zamierza podążać do celu. Naprawdę zaś wątpił w skuteczność jakichkolwiek metod, stąd pod hasłami poststrukturalizmu i dekonstrukcji szerzy się eklektyzm i całkowita dowolność w wyborze tematu zainteresowań, w tym sensie, że śledząc prace szczegółowe, nierzadko zresztą o wysokich walorach, trudno dopatrzeć się w nich planu, który by jakoś integrował te pojedyncze wysiłki. Coraz trudniej porozumieć się dzisiaj, co stanowi właściwy przedmiot badań literackich, a historii literatury w szczególności. Ostatnie dziesięciolecie w badaniach literackich w Polsce to bądź dalsze odrabianie zaległości w obsza-

rach wyjętych dotąd spod kompetencji oficjalnej historii literatury (emigracja, uchodźstwo lat wojny, kresy, drugi obieg itp.), bądź wprowadzanie w obieg nowej tematyki rozpoznanej jako trybut spleacony duchowi ponowoczesności (feminizm). Śledząc od lat co najmniej dziesięciu prace pisane „na stopień” widzimy, jak maleje zainteresowanie epokami dawnymi na rzecz współczesności, i to tej powojennej. Znak czasu? Być może, ale z podobnych znaków składa się właściwie cała historia literatury minionego stulecia, trochę pisana od etapu do etapu, pod naciskiem okoliczności, które – jak było to już powiedziane – często skłaniały do nadzbyt pospiesznych rewizji i przewartościowań, tak iż wolno przewidywać, że „Wielka Historia Literatury” jest ostatnim przedsięwzięciem tego typu w nauce o literaturze, alternatywny zaś wzorzec czegoś, co by odpowiadało syntezom literackim dawnego typu, pojawił się, jak dotąd, w formie różnych pomysłów, które nie układają się w jakąś sensowną całość, ale może i na to przyjdzie czas.